

Barack Obama pewnikiem długiej recesji

Autor: Benjamin Weingarten

Źródło: mises.org

Tłumaczenie: Marcin Bielecki

Polityczne sukcesy, jak pokazały niedawne wyścigi o fotele gubernatorskie, w coraz większym stopniu zależą od stanu gospodarki. Oficjalne dane mówią o bezrobociu sięgającym 10 procent, jednak bardziej rzetelny wskaźnik U-6 wykazuje bieżące bezrobocie na 17,2 procentowym poziomie, podobnym do tego z czasów Wielkiego Kryzysu.

Komentując tę sytuację, Barack Obama stwierdził: „Nie spocznię, dopóki wszyscy Amerykanie, którzy chcą pracować, będą mogli znaleźć zatrudnienie”. Jednakże polityka Obamy zaprzecza jego słowom. W rzeczywistości działania jego administracji zapewnią masowe bezrobocie i niekończącą się stagnację gospodarczą.



Aby zrozumieć, dlaczego stawiam tak radykalne tezy, należy najpierw wyjaśnić, dlaczego nasza gospodarka znalazła się w obecnych tarapatach. W tym celu muszę pobieżnie przedstawić wyjaśnienia, jakie oferuje austriacka teoria cyklu koniunkturalnego.

Stopa procentowa sygnalizuje cenę, nie różniąc się niczym od metki z ceną na jakimkolwiek innym dobrze. Na wolnym rynku (którego z pewnością nie ma w Stanach Zjednoczonych) wysokość stopy procentowej jest określana przez podaż i popyt na kapitał. Jednostki dokonują wyborów: konsumować czy inwestować. Te decyzje wyznaczają ilość funduszy pożyczkowych, którą biznes spożytkuje na realizację przedsięwzięć, dzięki którym na rynek zostaną dostarczone dobra na potrzeby przyszłej konsumpcji.

Jednak gdy bank centralny, taki jak Bank Rezerwy Federalnej, drukuje pieniądze, sztucznie zaniżając stopę procentową i rozszerzając pulę pożyczek, producenci otrzymują fałszywe sygnały. Stopa procentowa zasugeruje producentom, że konsumenci oczekują od nich realizacji długoterminowych przedsięwzięć. Z kolei sztucznie obniżona stopa skłoni konsumentów do mniejszych oszczędności, a większych wydatków i kredytów.

Stojące ze sobą w sprzeczności działania konsumentów i producentów, w odpowiedzi na zaburzony przez rząd sygnał cenowy stopy procentowej, powodują masową, błędną alokację zasobów. Prowadzi to do załamania gospodarczego, a uprzednie błędy widać na przykładzie opustoszałych domów i biurowców w całym kraju.

Logicznie rzecz biorąc, można by stwierdzić, że najlepszym sposobem na posprzątanie tego bałaganu byłoby upłynnienie błędnych inwestycji przedsiębiorstw, spłacenie naszych długów i rozpoczęcie działań rynkowych na nowo. Innymi słowy, należałoby pozwolić rynkowi na korektę zaburzonej równowagi i zniekształceń powstałych podczas sztucznie wykreowanego boomu.

Ale oświecony Barack Obama i jego zespół zaufanych doradców ekonomicznych, w parze z wiecznie usłużnymi panami Bernankem i Geithnerem, mają inne pomysły. Praktycznie rzecz biorąc, każde podjęte przez nich działanie ma na celu powstrzymanie rynku przed nieuniknionym oczyszczeniem.

Rząd wdrożył programy, które pozwoliły ludziom pozostać właścicielami domów i samochodów, na które ich nie było stać, fikcyjnie podwyższając wartość PKB. Wsparł upadające przedsiębiorstwa, unieważnił zobowiązania, stworzył zastępcze miejsca pracy, jak również politycznie zorientowane i, naturalnie, często korupcjogenne i marnotrawcze roboty publiczne. Zwiększył także podaż pieniądza na bezprecedensową skalę, redukując kontrolowaną przez FED stopę procentową do absurdalnej wartości zero procent. Nasi reprezentanci zrobili to wszystko, jednocześnie znacznie zwiększając i tak już skandalicznie wysoki dług publiczny.

Wszystkie te działania powstrzymują jakikolwiek proces ozdrowieńczy. Są obliczone na podtrzymanie zaburzeń powstałych przez majsterkowanie rządu i utrudniają rynkom dostrzeżenie rzeczywistości. Historia zdaje się powtarzać — Obama leczy depresję stosując ulubione recepty Hoovera i Roosevelta.

Programy te są bardzo kosztowne. Rząd przedłużył (i stale przedłuża) okres załamania skutecznie zatrzymując tryby rynkowej maszyny. Stworzył ogromne pokusy nadużycia przez wspieranie upadających firm i krzywdzenie firm efektywnych, które muszą subsydiować niewydolne przedsiębiorstwa. Ponadto powstrzymuje przedsiębiorców przed lepszym wykorzystaniem aktywów uwieczonych w stratnych przedsięwzięciach.

Wymuszone subsydiowanie nieudanych przedsięwzięć było chyba najbardziej notoryczne na rynku kredytów mieszkaniowych, gdzie najczęściej to banki, a nie konkretne jednostki, musiały wziąć odpowiedzialność za niespłacane kredyty. Uwolnienie dłużników od odpowiedzialności zniechęciło banki do udzielania kredytów w przyszłości. Rząd zmylił też kompletnie biznes i inwestorów jeżdżąc po umowach w sprawie premii AIG i kredytowanych miejscach pracy w GM jak po łysej kobyle.

Rząd wykazał się szczodrością, aby rzekomo „uratować lub stworzyć 600 000 miejsc pracy”. Piszę „rzekomo”, gdyż wiemy, że ta liczba jest zupełnie błędna. Jak powiedział nam Frederic Bastiat: dobry ekonomista bada nie tylko to, co widać, ale też to, czego nie widać. Arbitralnie ustalona liczba 600 000 skrywa fakt, że rządowe projekty prac publicznych i wsparcie dla nierentownych przedsięwzięć blokują rozwój nowych i bardziej zyskownych gałęzi przemysłu, ponieważ ziemia, praca i kapitał służą realizacji przedsięwzięć, które normalnie nigdy by nie zaistniały.

Ta dywersja nie pozwala na tworzenie nowych miejsc pracy, a także uniemożliwia robotnikom nabywanie nowych umiejętności, aby mogli się stać wartościowymi pracownikami w nowych i zyskownych przedsiębiorstwach. W najlepszym przypadku, gdyby można było wyplenić korupcję, marnotrawstwo i polityczne wpływy, a rząd potrafiłby wytwarzać dobra zarówno solidne, jak i miłe dla oka, mógłby tylko przejąć zasoby. Jednakże nie zaspokoiłby popytu konsumentów tak, jak prywatne przedsiębiorstwa, gdyż rządowi brakuje rynkowego mechanizmu cen, który determinuje zysk lub stratę. Rząd reaguje na popyt interesów politycznych.

Mówiąc bardziej zwięźle, nie wiemy, ile miejsc pracy straciliśmy na rzecz tych, które teoretycznie zostały uratowane bądź stworzone. Zasoby zużyte przy ratowaniu i tworzeniu miejsc pracy (i we wszystkich programach pomocowych

uchwalonych przez rząd) musiały skądś się wziąć, i rzeczywiście się wzięły — z kieszeni wykiwanych obecnych i przyszłych podatników.

Dodatkowo niskie stopy procentowe nie tylko utrzymały przy życiu banki, które inaczej by upadły, ale pozwoliły im osiągać zyski z pieniędzy publicznych. Pożyczając od rządu pieniądze na zerowy procent, banki albo pożyczają je z powrotem Bankowi Rezerwy Federalnej, albo pompują w rynki finansowe, gdzie obserwujemy efekt ciągłej inflacji monetarnej we wzroście cen akcji, obligacji i surowców.

Banki nie mają jakiegokolwiek motywacji aby uprawiać hazard darmowymi pieniędzmi — pożyczając je tak ryzykownym kredytobiorcom, jakimi są zadłużeni po uszy Amerykanie. Jesteśmy świadkami ogromnego transferu bogactwa ze społeczeństwa do finansjery, która również wspiera rząd tworząc i gwarantując rynek dla jego długów.

A co najważniejsze, sztucznie zaniżając stopę procentową, rząd cały czas zaburza mechanizm cen, co przecież spowodowało cały kryzys.

Duże koszty wynikają też z długu, jaki rząd emituje, aby móc sfinansować swoje interwencje. Po pierwsze, wzrost długu publicznego i zadłużanie bilansu finansów publicznych przeciwdziała pozytywnemu efektowi koniecznego oddłużania bilansów przedsiębiorstw i gospodarstw domowych. Po drugie, ogromny wzrost naszego długu podkopuje zaufanie do kraju jako kredytobiorcy, co w końcu doprowadzi do wzrostu stóp procentowych, gdy ludzie zaczną tracić wiarę w nasz rząd i zdolność naszej gospodarki do spłaty własnych długów.

Z kolei jedyną drogą pokrycia przez rząd długu (gdyż nie może tego zrobić otwarcie poprzez bezpośrednie opodatkowanie) jest pośredni podatek inflacji. I ponownie inflacja będzie zaburzała mechanizm cen.

Podsumowując: rząd tworzy marnotrawcze projekty robót publicznych, nie pozwalając rynkom na dostosowanie się, przedsiębiorstwom na upadłość a ich aktywom na lepsze wykorzystanie, przez bardziej kompetentnych biznesmenów, a przy tym jeszcze psuje dolara i rujnuje zaufanie do kraju jako kredytobiorcy.

Pozostał jeszcze ostatni punkt. Rynkowi przedsiębiorcy (w odróżnieniu od politycznych, którzy korzystają na szwindlach rządu) boją się obecnej administracji tak samo, jak w przeszłości obawiali się jej podczas prezydentury

Roosevelta. Ludzie biznesu nie wiedzą, jak arbitralne czy uciążliwe okażą się przyszłe rządowe regulacje.

Podczas gdy rząd miota się od jednego kapryśnego planu do drugiego, uczestnicy rynkowej wymiany mogą być pewni jedynie tego, że czeka ich więcej regulacji i interwencji, a ludzie będą bardziej obciążeni bezpośrednimi i pośrednimi podatkami. Firmy są niepewne otoczenia ekonomicznego, jednocześnie poprawnie przewidują (choć moim zdaniem nie doceniają skali) zwiększenie zakresu socjalizmu. Taka mieszanka bez wątpienia zduśi wzrost gospodarczy.

Zatem widzimy, że polityka Obamy jest nie tylko błędna, ale też niewiarygodnie destrukcyjna. Jeżeli nie pozwolimy gospodarce zlikwidować błędnych inwestycji, nieważne jak byłoby to bolesne, a będziemy starać się utrzymać iluzoryczny boom, skazemy się na lata bezrobocia, stagnacji i ostatecznie „[załamujący boom](#)” gospodarczy. Nie wspominając już o zagrożeniach, jakie dla naszej gospodarki stwarza narodowa służba zdrowia, podatki klimatyczne i, co nawet straszniejsze, polityka zagraniczna pana Obamy.

Każde z tych działań opóźnia konieczne przystosowania, pozbawiając przedsiębiorstwa wartościowych aktywów, które mogłyby zostać ulokowane w bardziej zyskownych przedsięwzięciach, i pozbawiając konsumentów produktów, które chcą nabyć za uczciwą cenę rynkową. Jedynym sposobem na tworzenie miejsc pracy jest uwolnienie przedsiębiorczych sił Ameryki. Niestety, okazuje się, że prezydenta Obamy nie interesuje to rozwiązanie. Woli on zagwarantować przedłużoną depresję, jeśli tylko posłuży to jego celom politycznym.